



LYONEL
TROUILLOT

—
DZIECI
BOHATERÓW

PRZEŁOŻYŁ
JACEK GISZCZAK



WYDAWNICTWO KARAKTER
KRAKÓW 2009

Musiło być południe, kiedy zaczęliśmy biec. Mogliśmy jeszcze długo znosić zaduch, ale widząc listonosza, który nie przepuścił okazji, by napić się z Corazonem i powspominać mistrzów boks, Mariela opróżniła słoik z naszymi oszczędnościami, wrzuciła mi monety do kieszeni i przykazała, żebym ich nie zgubił, i nie oglądając się, pędził na skraj slumsów. Gdybyśmy po drodze stracili się z oczu, miała na mnie poczekać przy fabryce mebli starego Mojżesza. Poprowadziła mnie do łóżka, na którym wciąż spała Józefina. Po raz ostatni spojrzeliśmy na tę twarz zniszczoną przez lata i uderzenia. Przez skórę widać było kości i nawet kości wydawały się miękkie, jakby całe to ciało ogłosiło bankructwo. Z biegiem lat zrobiła się przezroczyta. W ostatnich chwilach gdy Corazon ją bił, ciosy przechodziły na wylot. Kiedyś była kobietą, zostało tylko widmo. We śnie wydawała się bardziej martwa niż Corazon, który leżał na środku izby z otwartą czaszką, częściowo zasłonięty

przez komodę i krzesła, które przewrócił, padając na ziemię. Wszystkie sprzęty w domu zwały się na niego. Komoda. Krzesła. Patelnia i aluminiowe talerze. Stolik, na którym kładł stopy, słuchając transmisji meczu z tranzystora darowanego nam przez Man Yvonne w czasie, gdy pracowała w szpitalnej pralni na Bronksie, pisząc nam w listach, że to raj na ziemi albo znów że to piekło. Gazowa lampa, którą zapaliliśmy w ciężkich czasach. Wazon z plastikowymi kwiatami i wielka kamienna popielniczka kupiona przez Józefinę dla ozdoby. Cztery różowe kieliszki w serca. Dekoracje i drobiazgi. Wszystko czy prawie wszystko, co było w domu, roztrzaskało się na wielkim cieple Corazona. Błękit jego kombinezonu zniknął tu i ówdzie pod szczątkami najróżniejszych przedmiotów. Zgubił gdzieś tenisówkę i widziałem spód stopy, szorstki jak skóra jaszczurki. Woląłem patrzeć na stopę. Za każdym razem gdy mój wzrok zatrzymywał się na jego twarzy, czułem ukłucie zwiastujące łzy i szukałem wsparcia, starając się naśladować zachowanie Marieli. Ona jest najsilniejsza, najbardziej szczerą z sobą. Może i najbardziej samotna. Przez cały ten czas, gdy pozostawaliśmy w izbie, ani razu nie okazała słabości. Siadła na środku pobojo-wiska, żeby pomyśleć. Później, pełna energii, spakowała nasz skromny dobytek do płóciennego worka, w którym Józefina trzymała brudną bieliznę. Zrozumiałem, że odchodzimy. Z dała od Józefiny, która spała na łóżku i mogła wreszcie skorzystać z niego naprawdę, nie musząc się kulić i cisnąć do ściany,

by zostawić jak najwięcej miejsca wielkiemu ciału Corazona. Niestety, Józefina nigdy nie pogodziła się z myślą, że mogłaby spać sama. Od kiedy ją znam, zawsze potrzebowała w swoim łóżku mężczyzny. Męża albo syna. Corazon jest jej wybrańcem. Był. Nie żyje. I nie będę już mógł go zastąpić, teraz kiedy przyszłość zależy od władz. Naprawdę kochała Corazona. Kiedy wracał później niż zwykle, czekała na jego powrót i dopiero wtedy zaciągała zasłonę i kładła się do łóżka. Kiedy nie wracał na noc, spędzała noc na krześle, z ustami pełnymi modlitw. Kiedy znikał na dłużej, zastępowałem go. Józefina wołała mnie do swego łóżka. Długo mnie przyciskała i nad ranem zapadała w niespokojny sen, nie przestając się skarżyć i szeptać modlitw. Gdy spojrzeć na to od końca, to my jesteśmy winni. Nikt nie ma prawa odbierać nikomu życia. Ale życie, choć nikt nie miał zamiaru go zabijać, co dzień toczyło się źle. Corazon, bez względu na to, czy naprawdę wszedł kiedyś na ring, czy tylko nas okłamywał, walił w co popadnie, z wyjątkiem Marieli. Mógł się zatem spodziewać, że ktoś mu kiedyś odda. A Józefina, choć nie można jej zarzucić, by kochała nienawiść czy przemoc, nie jest całkiem bez winy. Mogłoby się wydawać, że żyje powietrzem, bo nigdy o nic nie prosi. Prawda jest taka, że by coś powiedzieć, rzadko używa słów. Swoje oczekiwania wyraża ukradkiem. Prawie nie wydaje z siebie głosu i nie woła: chcę, oczekuję, żądam. Nigdy nie mówi podniesionym tonem, ale w jej oczach kryje się cały słownik. Kiedy chce coś uży-

skać, jej twarz nieruchomieje i wzbudza litość. Jej twarz jest skargą, która chodzi okrężnymi drogami, oplakując zawiedzione nadzieje. Wymyśla też różne historie, które często mają ukryty sens. Na przykład opowiada, że w dzieciństwie bałem się szumu deszczu uderzającego o blaszany dach. Że chowałem się we wspólnych latrynach. Święcie w to wierzy i opowiada wszystkim dookoła. W tych czasach Corazon nie sypiał w domu. Nie mógł się pogodzić, że ma drugie dziecko. Jeśli wierzyć Józefinie, wyciągała mnie z kryjówki, rozcierała ręce i nogi i brała na noc do swojego łóżka. Nie przypominam sobie, bym chował się w latrynach i zawsze lubiłem szum deszczu. Zwłaszcza od kiedy Mariela nauczyła mnie, jak przykładając dłonie do uszu, zmieniać wodę w muzykę. Podczas każdej ulewy układałem melodie, uroczyste pieśni. Właśnie to pamiętam. Józefina wymyśliła tę historię o wielkim strachu, chcąc rzucić zaklęcie: bym wracał do jej łóżka i zastępował Corazona, kiedy ten spędza noc w jakimś nędznym bistrze, gdzie rum jest zbyt tani, by ufać etykietce. Józefina, moja matka, zawsze żyła z obawą, że ktoś kiedyś wysiuda ją z serc obu jej mężczyzn. Pragnęła, bym przez całe życie pozostał jej słabowitym dzieckiem. Józefina jest nieszczęśliwa, nie ma gwarancji, że będzie niezastąpiona. Że nigdy żadna kobieta nie zajmie jej miejsca. Zawsze była zazdrosna o Marielę, która nie chce nic od nikogo. Wadą Józefiny jest wieczny niepokój, wyobraża sobie, że któregoś dnia Corazon i ja odejdziemy i zostawimy ją całkiem samą. Corazon

lubił ją straszyć, znikając od czasu do czasu. Jednak zawsze wracał po takim odejściu na niby, a Józefina, z ulgą, dziękowała Bogu za cud. A przecież mogłoby się zdawać, że w tym więcej złego niż dobrego. Po każdym powrocie nienawidził jej trochę bardziej i zwiększał liczbę ciosów, by nadrobić straty. Ja sam nigdy nie pomyślałem, by odejść. A jeśli wychodziłem, to żeby zaraz wrócić z rękoma pełnymi różowych kieliszków w serca, z kieszeniami pękającymi od gurdów* i skrobiowych cukierków, jako że Józefina nie pozwalała sobie na żadne kaprysy czy fantazje z wyjątkiem ton skrobiowych cukierków, którymi zajadała się w niedzielne popołudnia. W tygodniu żyła modlitwą i patrzeniem na innych, którzy jedli. Tylko w niedzielę robiła się łasa. Nigdy bym nigdzie nie odszedł, chyba że po cukierki. I po kieliszki identyczne jak te, jakie kupiła w sklepie żelaznym na targu Salomona. Jestem pewien, że woli je od wszystkich pięknych luksusowych rzeczy, jakie istnieją na świecie. Józefina miała ciężkie życie, to ucieleśnione cierpienie. Nie chciałem jej opuszczać. Ale nie musiała przecież wymyślać historii o latrynach. Czułem się poniżony za każdym razem, gdy opowiadała tę bajkę Man Yvonne czy innym paniom z sąsiedztwa. Tym bardziej że przecież nigdy nie potrzebowałem pretekstów, by kochać Józefinę. Jest na drugim miejscu, zaraz za Marielą. A w życiu, tak jak w szkole, drugie miejsce to całkiem nieźle. Mariela

* Gurd – waluta Haiti; tu: monety (przyp. tłum.).

jest pierwsza, widzę ją od środka, jakbyśmy szli tym samym krokiem. I czasem nawet zapominam, że jesteśmy jednak dwiema osobami. Tymczasem Józe-finę kochałem zawsze z pewnego dystansu. Teraz gdy już jej nie zobaczę, bo po tym, co zrobiliśmy, nie będziemy już mogli żyć razem, dystans się powiększy, ale nie zmieni uczuć. Można kochać z bardzo daleka. Jak na lekcjach historii, uczą o żeglarzach, którzy patrzą z dala na ziemię i myślą z czułością o tym maleńkim obrazie. Oddalenie to coś, o czym nie potrafiliśmy rozmawiać z Marielą w dniu śmierci Corazona. Dal istnieje, choć nie ma zarysów. Nie wyobrażamy sobie jej kształtu. Wiemy tylko, że przestrzeń nie jest określona. Że lekko się kołysze, jak statek. To teren podobny do nocy, której trzeba czasu, by stać się czymś normalnym. W chwili naszego odejścia, gdy słyszeliśmy kroki listonosza, Mariela nie umiała mi tego wyjaśnić. Nie mogła znaleźć słów. A przecież zwykle bez trudu znajduje trafne określenia. Ma talent do układania zdań, lecz gdy chodzi o dal, w którą mieliśmy wyruszyć, nie potrafiła jej opisać w precyzyjny sposób. Jedyne obraz, jaki przychodził mi do głowy, to ten, że opuścimy slumsy, by wieść resztę życia na jakimś pustkowiu. Uważałem, by omijać okruchy szkła i nie zawadzić o długie nogi Corazona, które dzieliły izbę na dwie niemal równe części. Jego ciało wciąż było ogromne, zbyt wielkie jak na domek z jedną izbą, żoną i dwójką dzieci, które zawsze plątały mu się pod nogami. Tylko twarz się skurczyła. Upadł na bok, ukazując gorszy profil.

W chwili śmierci przybrał fałszywą minę zasmuczonego dziecka, jaką miał zawsze, gdy zjawiał się wierzytel. Man Yvonne, która знаła się na religii, choć nie była nabożna jak Józefina, powtarzała nam często, nim poleciała do Stanów Zjednoczonych: moc Złego to chytryść. Broń Boga – współczucie. Corazon musiał coś mieć z jednego i drugiego. Zrozumiałem to w dniu jego śmierci. Józefina stale miała do czynienia z obiema twarzami Corazona. Jeśli nie, czemu zasłaniała głowę, kiedy zbliżał się do niej z butelką w dłoni? I dlaczego przy innych okazjach mówiła do niego, jakby się modliła? Jakby jego obecność była niebiańskim szczęściem! Był dla niej równocześnie diabłem i Panem Bogiem. Nawet w chwili śmierci się nie zmienił: Corazon miał w sobie wielu bardzo różnych ludzi. Mógłby napisać poradnik, jak pić do oporu i nigdy nie spłacać długów. Mógł też lawirować jak pacjent, który się waha, co wybrać: terapię czy nawrót choroby. Brał z życia rzeczy najgorsze, a mówił o najlepszych. Mój własny ojciec był bydłakiem, który potrafił być łagodny jak baranek. Przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych Man Yvonne często nas odwiedzała, by naradzać się z Józefiną i udzielać jej rad. Gdy komuś zaczyna powodzić się lepiej niż wam, od razu staje się autorytetem. Marieli wcale się nie podobało, że Man Yvonne ciągle nas poucza. Mariela nie lubi mądrali. Dla Man Yvonne słowa, które nam przekazywała, miały wielkie znaczenie. Czuła się trochę winna z powodu Corazona i miała nadzieję, że przekaze synowej całą swoją wie-

dzę doświadczonej kobiety. Wszyscy mężczyźni to świnie. Inteligentna kobieta posługuje się nimi i nie daje sobie wejść na głowę. Wszyscy, bez wyjątku. Świnie, i nic więcej. Mój syn jak cała reszta. A Józefina, która miała miękkie serce niczym postać filmowa, broniła Corazona. Man Yvonne zgadzała się, że nie jest do gruntu zły. Ale uważaj. Kiedy był mały, nieraz go przyłapałam, jak wrzucał osiołkowi mleczarza niedopałki do ucha albo wydierał strony z podręcznika, żeby nie powtarzać lekcji. Wił się jak opętany, żeby uniknąć lania, choć na nie zasłużył. Robił minę aniołka i wszyscy mu wybacжали. Man Yvonne przestrzegala Józefinę: od dziecka był zdolny do najgorszych rzeczy. A Corazon się denerwował, zaczynał się dusić, wciągał całe powietrze z izby i czuliśmy wszyscy, że napięcie rośnie. Corazon wychodził z siebie w obecności niewzruszonej Man Yvonne. Prawie krzyczał, ale nigdy nie ośmielił się jej przeciwstawić. Upierała się. Tak, robiłaś to, potem chwaliłaś się kolegom, wiem od ich matek. Man Yvonne odszukiwała w pamięci lata, dokładne daty, świadków. Corazon tracił grunt pod nogami i powtarzał, że jego matka zmyśliła te historie o niedopałkach w oślich uszach po to tylko, by go przedstawić w złym świetle i siać zamęt w jego domu. Józefina już mnie nie szanuje, więc jeśli teraz jeszcze ty się wmieszasz... Muszę przyznać, że się z nim zgadzałem. Matki zawsze wymyślają historie, które nie do końca odpowiadają prawdzie, raczej wyobrażeniom na temat ich synów. Weźmy Józefinę i tę bajkę

o latrynach. Dobrze mieć matkę. Gorzej, gdy zaczyna opowiadać wasze życie. Im bardziej syn dorośnie, wypełniając kolejne głupstwa, tym chętniej matka wraca do głupstw z przeszłości. Kiedy ich nie ma, zmyśla. Józefina była w tym punkcie podobna do Man Yvonne, ciągle rościła sobie prawo, by mieć mnie na oku, decydować, co jest moją ulubioną potrawą, stawiać pieczęć na moich wspomnieniach z dzieciństwa. Z matkami sprawy się komplikują, kiedy postanawiają znać cię lepiej niż ty sam. Man Yvonne opisywała Corazona takim, jakim chciała, by był. Robił minę obrażonego dziecka, dusił się w swym kombinezonie, jego mięśnie napinały się pod wpływem emocji. A Józefina, wiedząc, że Man Yvonne wkrótce tu nie będzie i nie obroni nas przed burzą, jaką sprowokowała, posyłała nas z Marielą do kramu ojca Elifeta po butelkę barbancourta na kreskę. Szeptem kazała nam powiedzieć Elifetowi, by dopisał sumę do jej listy. Corazon już dawno wyczerpał limit we wszystkich sklepikach w dzielnicy. Wróciliśmy z rumem. Na widok butelki Corazon się odprężył, mięśnie się rozluźniały, wypowiadał swoje ulubione zdanie: życie niesie same przykre niespodzianki, ostatnią będzie śmierć. Wcale się nie pogniwam, gdy przyjdzie. I śmierć przyszła. Wbrew temu, co mówią ludzie, nie trzeba było daleko szukać. Nie było żadnych przygotowań. Przemoc przyciąga przemoc i Mariela uniosła klucz, jakby nie była już sobą, lecz jakimś automatem wprawionym w ruch przez grozę czy rękę opatrności. Pani w szkole mówiła,

że wbrew temu, co twierdzą historycy, którzy znają jedynie powierzchnię wydarzeń, to wcale nie wariatka Défilée zebrała resztki cesarza Dessalinesa zaraz po zamachu. Lecz opiekuńczy duch, który przechodził mostem i wszedł w stare ciało wariatki. Historia, mówiła nam, kryje wiele tajemnic i wiele niespodzianek. Nikt nie wie z góry, kto z nas będzie potworem, a kto bohaterem. Jeśli chodzi o Corazona, choć jego śmierć trudno byłoby uznać za fakt historyczny, już nigdy nic go nie zaskoczy. Leżał bez ruchu, a Mariela ani razu na niego nie spojrzała. Ja z chęcią zamieniłbym z nim kilka zdań ten ostatni raz. Porozmawiał. Ujął się za nami. Podyskutował z trupem. Poszukał słów pomiędzy przepraszam i do widzenia. Wyjaśnił. Wygłosił mu kazanie. Lecz Mariela nie zgodziłaby się na taki kompromis. Kroki listonosza zbliżały się, pozostawiając nam niewiele czasu. Musiało być południe. Słyszałem krzyki dzieciarni ze szkoły. Piskliwe głosy zagłuszały dźwięk dzwonka zapowiadającego koniec lekcji. Rozpoznawałem w tym zgietku głosy moich przyjaciół, Rolanda, Ambrożego oraz wszystkich innych. Marcela. A zwłaszcza Jhonny'ego Jąkały, choć jego głosu akurat nie słychać, bo potrzebuje co najmniej godziny, by sklecić jakiegokolwiek zdanie. Zatem woli milczeć. Jhonny to mój najlepszy przyjaciel. Gdyby Corazon nie przepił ostatniego czeku od Man Yvonne, krzyczałbym wraz z nimi, ciągnąc woźnego za połę marynarki, a Mariela może nie zrobiłaby tego, co zrobiła. Lub zrobiłaby to sama. W pewnym sensie można powiedzieć, że ten nawyk

Corazona, który wydawał w barze pieniądze na moją naukę, był złem o dobrych skutkach. Wybaczyłem mu to. Nigdy nie lubiłem szkoły. I miałem trudności z rozumieniem rzeczy. W przeciwieństwie do Marieli, która chwyta wszystko w lot. Od ręki pisała moje wypracowania, gdy mnie złożenie pierwszej linijki zabierało wieczność. Pani podkreślała znaczenie planu, powiązania myśli, równoważenia paragrafów. „Pojechaliście z rodzicami na piknik, opowiedzcie o tym. Opiszcie zachód słońca. Sportretujcie ulubione zwierzę”. Próbowałem zbudować plan. Lecz nie mogłem się zdecydować co do drzew i zwierząt, które należało wymyślić. Czy trzeba zacząć opis od głowy, czy ogona, chodzi o portret psychiczny czy fizyczny, o ogon, ramę czy kolor? Mariela wrywała mi ołówki z rąk. Mogłem więc zrobić rundkę po dzielnicy, nie oglądając się na przykazania, wypatrywać ładnych dziewcząt, które chodzą do kościoła baptystów, czy wdać się w głupie zawody z Marcelem albo Jhonnym Jąkałą, na przykład kto skoczy przez żywopłot, przeciągnie linę, podczas gdy ona kreśliła mi mój własny pejzaż, morze zachęcające do podróży, psa, kota, wielki dom z prawdziwymi oknami i drzwiami na zawiasach. Wymyślała mi też wspańiałych rodziców: ojca, który mnie nie bił, i matkę zdolną się uśmiechać. Na początku nauczycielka uznawała mnie za jednego ze słabszych uczniów. W miarę jak Mariela mi pomagała, moje wypracowania były coraz lepsze i piąłem się w górę, by w końcu stać się przykładem dla innych. Wreszcie któregoś

dnia nauczycielka oświadczyła Józefinie, że mam pisarski talent. A Józefina, choć negadatliwa, gdy tylko zaciągała zasłonę i chowała się z Corazonem w głębi izby, błagając, byśmy poszli pobawić się na dworze i nie słuchali jej westchnień, nie umiała ukryć przed nim niczego. Corazon szybko odgadł, że to sprawka Marieli. Powiedział, że dogłądanie postępów syna w nauce jest zadaniem ojca i że zamierza udać się do szkoły, by porozmawiać z nauczycielką. Józefina dała mu pieniądze. Kiedy mnie usunięto z braku opłat, nie ośmieliła się powiedzieć o tym Corazonowi z obawy, by nie wpadł we wściekłość i nie stłukł nas obojga. Ale jeśli chodzi o szkołę, nic się takiego nie stało. Naprawdę nigdy tego nie żałowałem. Mariela od dawna nie chodzi do szkoły. A przecież wie masę rzeczy. Zresztą szkoła to żadna rozkosz. Całe szczęście nie z tego powodu Mariela zrobiła to, co zrobiła. Zrobiliśmy to, co zrobiliśmy. Razem. Nie mogę powiedzieć, bym był dumny ze śmierci Corazona. Nie było to zamierzone. Powinno się brać na siebie tylko to, co się zaplanowało. Nie był to też żaden wyczyn, jak dokonanie jakiegoś wielkiego odkrycia czy stworzenie czegoś nowego. Ze śmiercią Corazona było tak, jakbyśmy sami w to wpadli. To była pułapka, którą od dawna szykowało nam życie. Wydarzenie, które pozostanie w annałach dzielnicy. Jako że ani czas, ani ludzie nie pozwolą nam zapomnieć. Nie jestem z tego ani trochę dumny. Ale od tego dnia stworzymy z Marielą coś w rodzaju wspólnoty. Nawet jeśli nas rozdziela, zaw-

sze będziemy razem. Solidarni. To ja trzymałem stopy Corazona, żeby się przewrócił. Dotąd Mariela musiała dawać sobie radę za dwoje. Kiedy byłem mały, opiekowała się mną, gdy Józefina pogrążała się w modlitwach. Gdy chorowałem na malarię, to ona podawała mi leki, czytała ulotki i odmierzała dawki. Są chwile, w których chciałbym ożywić Corazona, gdybym miał taką moc. Zwłaszcza w nocy. Kiedy śpi, nie jest złym człowiekiem. Nie, nie jestem dumny z tego, co zrobiliśmy. Ale z drugiej strony to dobrze, że nie musiała robić tego sama. Mariela jest zbyt często sama. Tym razem będzie mogła przynajmniej powiedzieć: Pomógł mi młodszy brat.